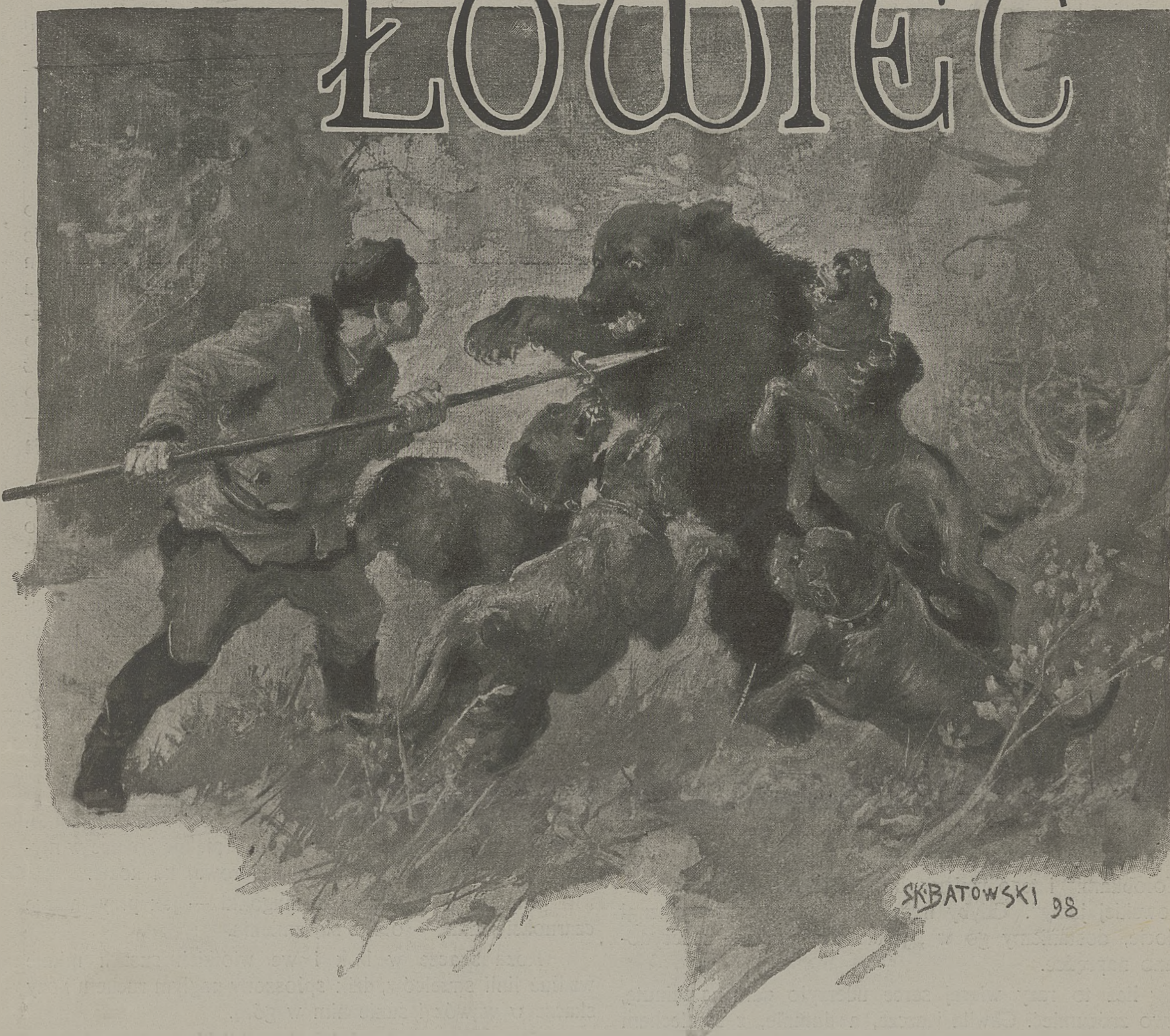
Nr. 8. Lwów, 16. kwietnia 1904. Rok XXVII.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna:
1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Polowanie na dziki.

Dnia 21. stycznia br. polowało nas ośmiu w małym lasku grabowym, remizce raczej, Krzywosipką zwanej — ot tak sobie — na zająca i lisa, gdyż z innym zwierzem raz chyba na sto lat spotkać się tam można, a i te dwa rodzaje czworonogów, w ilości sztuk kilku zaledwie, są tylko niedobitkami kłusowników, gorliwie swe zacne rzemiosło dokoła Krzywosipki uprawiających.

Już klepsydra nieboskłonu wskazywała godzinę 1-szą z południa, już ukończone zostały bez strzału dwa, najświetniejsze nadzieje rokujące mioty, gdy zziajany, ledwie dyszący już goniec — używany stale do roznoszenia wieści o obtropieniu dzików pomiędzy tutejszych nemrodów — pojawił się z oznajmieniem, że w „Reszetowie", odległym o jakie 4 klm. obtropiono dwa silne odyńce.

Rzecz jasna, że wieść taka silnie oddziałać musiała na wszystkich myśliwych. Była bowiem nader miłą niespodzianką, paraliżującą od razu chęć dalszego polowania na długouche kopyry dla jednych; w drugich zaś paraliżowała przytomność i ich zajęczą odwagę. Znaleźli się wreszcie i tacy, którym, po owocówce i albertach, bezpieczniejszem się wydawało zjeść ciepły obiadek w domu i nabyć później skórę z ubitego potwora, mającą pomnożyć zbiór ich trofeów.

No i cóż w tem zresztą dziwnego! Można być przecież myśliwym, nie uśmierciwszy ani jednego jeszcze stworzenia, mimo zawsze celnych i pięknych strzałów, a zbiór rogów i skór nie pozwoli przecież zaprzeczyć właścicielowi prawa do tytułu „nemroda".

No, ale wracajmy do rzeczy, przedmiotem bowiem notatki naszej jest opis dokładny polowania na potwory z epoki antidyluwialnej.

Tak tedy po krótkiej naradzie — mimo podzielonych zdań — pożegnawszy ze szczerym żalem dwu myśliwych, dla których polowanie na dziki bądź to nie miało wiele uroku, bądź też zbyt niebezpiecznem się wydawało, ruszyliśmy ławą w kierunku grobu dziczego, zwanego „Rachowską jamą“, pchnąwszy wpierw posłańca po sztućce do domu.

W niespełna godzinę byliśmy już o kilkaset kroków od punktu operacyjnego, gdzie nas też dwaj srodzy prześladowcy rodu dziczego, znający się dobrze na czytaniu tropów, oczekiwać mieli, mając za zadanie udzielić nam bliższych sprawozdań i wskazówek co do pozycyi, zajętych przez zabłąkane odyńce.

Ale niestety! Na tle krawędzi lasu sięgających, białym całunem okrytych pól, nie sposób nam było dojrzeć jakiegoś ciemnego punktu, w którym domyślać mogliśmy się naszych tropowych. Na sygnały jednak nie pora, gdy dziki w pobliżu nas. Zatem nużąca, nieznośna chwila gorączkowego oczekiwania.

Nasz kochany leśniczy, znany ze swej myśliwskiej łaciny, kreślił nam plany, gdzie przypuszczalnie mogły zaledz dziki, co jednak — wobec spóźnionej pory — uspokoić nas nie zdołało. Godzina jeszcze, półtora najwyżej, a nasze najpiękniejsze nadzieje rozwieją się w mroku styczniowej nocy.

Usiadłszy tedy w śniegu, zaćmiliśmy papierosy, niechętnie podtrzymując nudną, rwącą się co chwila rozmowę.

— „Ależ silne dwie sztuki, po 5, 6 lat przynajmniej“ — dało się słyszeć naraz w pobliżu.

To Andrij! Niech go kule biją! poznaliśmy go po głosie.

Zrywamy się na równe nogi, zapowiadając śmierć wszystkim dzikom i słuchamy krótkich, urywkowo rzucanych wyrazów, co do zajętych przez dziki pozycyi.

Niema chwili do stracenia. Dzik jeden zaległ pod „Żołobkami“ i tego wpierw brać należy w kierunku „Rachowskiej jamy“. Gdyby nam się w pierwszym wyśliznął miocie, dostaniemy go w „grobie dziczym“ — zadecydowano naprędce.

Ileż to razy więcej serce uderzyło nam na minutę, łatwo zrozumieć. Chwila jeszcze, a dumnie, z uśmiechem pod obwisłym, szronem okrytym wąsem, wracamy do domu.

Stoimy na stanowiskach.

Nagonkę ledwie zasłyszeć, gdy oto dziau... dziau... zadzwonił nasz mały nieoceniony Pagat, lekki szum na uboczy i już jeden z myśliwych oparł sztuciec o ramię i mierzy, skierowawszy go w prawą stronę, na linię strzelców. Zmienia raptownie obrany kierunek i pali raz, potem drugi w miot naprzeciw siebie. Sąsiad z lewej strony widząc, że dzik po strzałach wolno posuwa się w górę przeciwnym brzegiem potoku, biegnącego wzdłuż linii strzelców, podbiega i znalazłszy wąziutką lukę w młodniku, dzielącym linię od potoku, korzysta ze sposobności i... pali.

Dzik po strzale przystanął, wygiął grzbiet łukowato i atakowany wciąż przez małego Pagata, posunął wolno w kierunku „Rachowskiej jamy“.

Powstaje teraz pytanie, dlaczego dzik nie wyskoczył na linię. Wedle powszechnego mniemania, bystre jego oko spostrzedz zapewne musiało nerwowe ruchy któregoś z myśliwych — objawy niepokoju w chwili dzwonienia psa, silniejszego nacisku nagonki, lub, co gorsza, dosłyszanego szumu grubego zwierza — i jakby mu kto szczutka dał, zawrócił nagle.

Dosięgła go jednak kula starego nemroda, po której przysiadł, a chybiony następnym, za spiesznym nieco strzałem, posunął wolno wzdłuż potoku w górę. Tam jednak — jak się później okazało — otrzymawszy drugą kulę od sąsiedniego myśliwego, przystanął, wygiął grzbiet z bólu i posunął dalej ku Rachowskiej jamie.

Jeszcze chwila czasu; jeszcze jeden miot.

O, tam dzik ranny, wyzuwszy się z pewnością z swego marnego cielska, obrał bezpieczniejszą ostoję w krainie wiecznego szczęścia, zostawiając swe ciało nienasyconym myśliwym. Ale tam też być musi ten drugi potwór, któremu na górze jeszcze, w chwili nużącego oczekiwania na sprawozdania tropowych, napisano testament, pieczętując go wódką łańcucką. Niema tedy sekundy do stracenia, gdyż słońce za wierzchołki gór już chylić się poczęło i łatwo mrok wieczorny ze stanowisk nas spędzi. Biegniemy więc — ile sił starczy — w dół na główną drogę, następnie drogą jakich 0·5 klm. i znowu pod górę na stanowiska.

Stanęliśmy mniej więcej w tym samym porządku, co w miocie poprzednim. Długa upłynęła chwila, nim echo gdzieś na przeciwnej stronie szumiącego potoku powtórzyło pierwsze okrzyki nagonki. Znowu chwila — strzał gdzieś w dole na drodze i znowu to mile w uchu dzwoniące, łechcące serce myśliwego dziau, dziau... dziau, dziau...

Któż opisze wrażenie, doznane przez myśliwego, który spostrzegłszy dzika, sunącego w ogromnym pędzie po przeciwległej uboczy wąwozu, widzi go naraz na 10 kroków zaledwie w gąszczu obok siebie, a pomiędzy sobą, a dzikiem, wystraszoną kozę.

Wspaniały obraz! Szkoda tylko, że trwał tak krótko. Koza podniósłszy słuchy, wlepiła swe piękne źrenice w myśliwego, dzik ponure spojrzenie skierował ku kozie.

Raptem pod naciskiem nagonki — jak przy latarce czarnoksiężnika — obraz się zmienia.

Koza skacze w bok i we wiotkich susach mknie wzdłuż linii strzelców, dzik spłoszony nagłym ruchem kozy skacze w wąwóz i sunie nim w górę.

Co za rozczarowanie! być tak bliskim strzału; jeszcze sekunda, dwie, a na linii leżałoby martwe, czarne cielsko dzika.

Lecz patronka Dyana nie pozwoliła uronić swemu myśliwemu szczęścia dnia tego.

Po lewej ręce stojący młody myśliwy, usłyszawszy chrzęst zwierza, skoczył raptownie w gąszcz przed siebie, czem spłoszony dzik rzucił się w bok i przystanął w młodniku.

I znowu moment piękny, nie dający się ująć w ramy naszego opisu. W chwili, kiedy dzik zawrócił do wąwozu i myśliwy odjął od ramienia strzelbę, śledząc go bacznie, czy wyżej gdzie nie wyskoczy, po prawej ręce stojący nemrod stary, który w poprzednim miocie pierwszy strzelał do dzika, w zamiarze podbiegania zwierza, rzucił się pędem wzdłuż linii strzelców ku górze i dopiero myśliwy, śledzący ruchów dzika, chwyciwszy go za ramię, dał znak, że dzik stoi w gąszczu.

Któż opisze mimikę, przerywaną tylko gorączkowo rzucanymi, urywanymi wyrazami, wykonywaną przez obu myśliwych, ze strzelbami u ramion, których lufy skierowane na linię — wyczekiwały wyskoku dzika.

— Gdzie?

— Stoi.

— Idzie już?

. . . .

— Już idzie! baczność!

Bums! Dwa strzały, jak jeden, padły w tej samej chwili i na biały kobierzec śniegu padło czarne cielsko dzika.

Po chwili zjawił się Pagat, zajadle począł targać trupa.

W pierwszej chwili dostrzegliśmy tylko dwie kule na skórze dzika, z których jedna większa, a zatem pochodząca ze sztućca starego nemroda, kalibru 14., przeszyła wysoko komorę, druga mniejsza, a więc ze śrótówki systemu „Lancaster“ Nr. 16., przez drugiego wypuszczona myśliwego, przeszyła kark i wyszła z drugiej strony tuż za uchem.

Obaj myśliwi strzelali, stojąc prawie ramię przy ramieniu.

Spisawszy się tak dzielnie, w przekonaniu iż ubili drugiego dzika, gdyż w pierwszym miocie strzelany — jak zresztą świadczyła ciemna farba, dostrzeżona przy zajmowaniu stanowisk w drugim miocie — musiał już skostnieć gdzieś w gąszczu, zasiedli obaj myśliwi koło zdobyczy, ćmiąc papierosy i żywą wiodąc pogawędkę, gdy w tem padł strzał w odległości dwóch, a może trzech stanowisk i znowu cisza zaległa knieję.

Nie słysząc żadnych sygnałów, po zakonkludowaniu, że do zająca zapewne strzelano, prowadzili myśliwi dalej ożywioną rozmowę, w której z górnych stanowisk zbiegli sąsiedzi brali też udział, a wreszcie chwyciwszy dzika za łapy, poczęto go wlec w dół ku drodze.

Jakież było nasze zdumienie, gdy jeden z myśliwych, stojących na niższych stanowiskach, oznajmił nam przyciszonym głosem, że strzelał do dzika, ujrzawszy go na przeciwległej uboczy wąwozu, sadzącego prawie na sztych na niego, i że dzik stoczywszy się tuż nad potok, leżeć tam musi.

Rozbiegliśmy się w jednej chwili na stanowiska. Niestety jednak za późno. O ile bowiem zapadający zmrok dostrzedz pozwolił, dzik przeciwną ścianą wąwozu posunął w górę.

Nie było co robić w kniei, zbiegliśmy więc na drogę, omawiając żywo kwestyę, którzy myśliwi strzelali do dzika, postrzelonego w pierwszym miocie. Jedni bowiem twierdzili, iż dzik ubity jest właśnie postrzałkiem, inni znowu, że do postrzałka padł strzał ostatni, chybiony najprawdopodobniej i krytykowali ostro dotyczącego myśliwego, że nie przypuścił dzika na linię, zarzucając mu tremę.

My, chociaż młodsi doświadczeniem i wiekiem — polując jednak często z owym myśliwym na dziki — nie podzielamy tego zdania, lecz przeciwnie twierdzić sobie pozwolimy, że tylko pewność oka i kuli skłoniła owego myśliwego do strzału na tak znaczną odległość.

Nazajutrz zapadła decyzya gremialna, że należy wyruszyć na poszukiwanie postrzałka, poczem całe towarzystwo udało się do pana Altera, by oblać uczciwie tak wielkie święto i przy szklenicy piwa na temat wypadków dnia pogawędzić swobodnie.

. . . .

Ranek następny pogodny, choć mroźny dzień zapowiadał.

Pięciu nas siadłszy na wózek przed 8-mą z rana, pomknęło w kierunku Reszetowa, gdzie u rogatki oczekiwali nas już obaj tropowi wraz z zebraną nagonką, mając do zakomunikowania nie bardzo miłą nowinę. Dzik ruszony z wieczora przeszedł drogę, potok, a następnie grzbiet góry i udał się w spokojniejsze miejsce do „Suchego“ czy też pod „Berłohę“.

Po krótkiej naradzie wysłano Andrija w ślad za dzikiem, dając mu strzelbę i dwa patrony, by w razie obtropienia dał znak wystrzałem; sami atoli postanowiliśmy polować tymczasowo na zająca, lisa a ewentualnie rogacza.

Dzień cały przeszedł bez strzału; nad wieczorem dopiero usłyszawszy w dole hopkanie, zbiegliśmy na drogę, gdzie przy sankach z dzikiem stał Andrij. Doszedł on dzika i strzałem w łeb zakończył jego męczarnie.

Przy dokonanej obdukcyi okazał się następujący rezultat: Dzik pierwszego dnia ubity był właśnie owym postrzałkiem z pierwszego miotu, a skóra jego nosiła ślady 5 kul, które przeszyły ciało na wylot. W pierwszym miocie otrzymał kulę od jednego z myśliwych tuż pod stos pacierzowy, od drugiego zaś w trzewia, w drugim miocie strzał od myśliwego z flanki w mięśnie lewej szynki a ostatnie dwa strzały w kark i komorę od obu pierwszych myśliwych.

Dzik drugi, strzelany prawie na sztych, trafiony był z prawej strony w brzuch, a kula utkwiła we wnętrzu. Drugi strzał w łeb był Andrija.

Okazało się przytem, że dziki nie były wcale tak silne, jak to nam oznajmiono. Były to raczej trzyletnie wycinki, niż odyńce.

Taki to wynik polowania, gdzie dziki są rzadkością, a nasi nemrodzi bez wyjątku życzą sobie gorąco, by św. Hubert dozwolił im się doczekać bodaj jednego, tak szczęśliwego dnia jeszcze w bieżącym roku.

Peczeniżyn 22. lutego 1904.

Jerzy Martyniec.

Sprawozdanie łowieckie z pow. Bialskiego za rok 1903.

Aczkolwiek zeszłoroczna kampania myśliwska z okolic tutejszych, bardzo mało interesująca, czyniąc atoli zadość obowiązkom moim delegackim, donoszę, że tak samo jak w wielu innych okolicach kraju naszego w bliskości gór położonych, gęstemi rzekami i tychże dopływami poprzecinanych, klęski elementarne nader silnie dały nam się we znaki. Od końca kwietnia do końca lipca nieustannie prześladowały nas opady atmosferyczne, rzeki i tychże dopływy jeszcze silniej, aniżeli w latach ubiegłych po równinach rozlały zię, niemiłosiernie niszcząc plony rolnicze, zabierając w rozhukanych swych falach całą tak starannie podczas zimy i wiosny wypielęgnowaną czworonożną zwierzynę, skrzydlatej zaś wszystkie pisklęta. Na pagórkach gniazd podmokłych żadna kura dosiedzieć nie mogła, nietylko młode zajączki, lecz także wszystkie starsze, słabsze organizmy rodu zajęczego wilgoci padły ofiarą, a w pozostającej reszcie silniejszych grady w wielu miejscowościach znaczne wyrządziły spustoszenia.

W lutym, w marcu i w pierwszej połowie kwietnia stan wszelkiej zwierzyny zapowiadał się świetnie. Zacieraliśmy radośnie ręce, marząc o bajecznych rozkładach jesiennych i zimowych; w początkach sierpnia jeszcze łudziliśmy

się jakiemikolwiek nadziejami; jakież smutne i przygnębiające było rozczarowanie, gdyśmy dwa tygodnie później przekonali się, że młodych kuropatw nie ma wcale, starych stadek mniej niż na wiosnę, a ród zajęczy zdziesiątkowany. Opuściliśmy z rozpaczą ręce, z lufami ku ziemi, szepcząc z bolesnem westchnieniem, jeden drugiemu do ucha: Nie można polować!

Pomimo tego hasła, pierwszy otrząsł nas z odrętwiałości dnia 21. listopada, właściciel Andrychowa. Wyjechaliśmy w pięciu o 9-ej przed poł. przy lekkim kapuśniaczku, który, gdyśmy pod stoki górskie dotarli, przemienił się w deszcz, w przeciągu dalszej godziny w śnieżną nawalnicę, która ze względu na trzęsącą się od zimna, źle przyodzianą nagonkę, zniewoliła nas po zabiciu pięciu zajęcy, około godziny pierwszej z południa do powrotu do domu. Drugi, pomimo że klęską gradową nawiedzonym został, pomimo usilnych naszych przedstawień, aby pauzował, zatrąbił na nas p. O. Rudziński w Osieku dnia 2. grudnia, podczas którego to dnia padliśmy ofiarą takiego samego powietrza, co dnia 21. listopada. Było nas ośmiu. Podziwiając wytrwałość nagonki, polowaliśmy bez przerwy od 10-ej przed poł. do 3-ej po poł. i pomimo tak pod każdym względem niesprzyjających okoliczności, przywożąc 17 kogutów bażanckich i 18 zajęcy, powróciliśmy przemoknięci do szpiku i kości z tryumfem do dworu. Najciekawszy epizod dnia tego był ten, że wbrew spóźnionej porze roku, przesunęło nam się, jak widma w tumanach śnieżnych siedm słonek, których w odrętwiałych od zimna i wilgoci rękach podniesione lufki, przy bijącym w oczy śniegu, nie trafiły, bo trafić nie mogły.

Tyle w zeszłorocznym „Łowcu“ naczytałem się, przyznaję z nietajoną zazdrością, o wspaniałym ciągu słonek w wschodniej części kraju naszego i w okolicach krakowskich, że pojąć nie mogę, dla jakiej przyczyny te długodzióby tak starannie okolicę naszą mijały. Oprócz dwóch, z końcem października w Wieprzu i siedmiu w Osieku widzianych, nie widziałem innych i nie słyszałem o żadnem innem spotkaniu się z nimi w okręgu moim łowieckim.

Dnia 5. grudnia polowałem w znanym w kraju naszym powszechnie ze szkółek swych ogrodniczych i leśnych, Zassowie pod Czarną. Strzelb ośm, powietrze bardzo łagodne, za to teren głęboki. Nagonki dwustu kilku. W ubiegłych latach polowaliśmy tam zawsze w kotłach. Tym razem, ruchliwym i pomysłowym duchem obdarzony gospodarz i kierownik łowów, uraczył nas dla odmiany (mit einem böhmischen Treiben) i słusznie! Wytrawni bowiem znawcy polowania twierdzą, że ten system o wiele jest mniej morderczy, aniżeli kociołkowy. Praktykowanym bywa w domenach cesarskich i na wielu domenach Majoratsherrów czeskich i morawskich. Pierwsze pędzenie odbyło się od 10-ej do w pół do 1-ej z południa, drugie od $^1/_2$2-ej do $^1/_2$4-ej po poł., poczem konkluzya: mały kociołek. Rezultat ogólny 92 zajęcy, więc wcale nie gorszy w porównaniu do kotłów, a to bene w dodatku, że bardzo dużo zajęcy umknęło zawczasu naprzód bez strzału, zatem pozostały całkowicie zdrowe do dalszego reprodukowania i rozmnożenia się. Niezmordowany gospodarz, poświęciwszy się w zupełności dla zabawy swoich gości, nie wziął nawet strzelby do ręki, lecz dosiadłszy konia, skrzętnie sprawiał szyki obławy, która pomimo, że po raz pierwszy w odmienny sposób pędzić musiała, wcale poprawnie wywiązała się ze swego zadania. Królami dnia tego byli panowie: M. R. i W. P. Szkoda wielka, że w tamtejszym powiecie jedynie właściciele Zassowa i Przyborowa prawidłowo uprawiają polowanie, grunta tam lekkie, chude, nie korzystne dla rozmnażania się zwierzyny, a przecie względnie piękny stan.

Dnia 7. grudnia tak samo przy bardzo łagodnem powietrzu, polowałem w Przyborowie w sąsiedztwie Zassowa. Aczkolwiek właściciel Przyborowa nie jest zapalonym myśliwym, udowodnił nam, że ma prawdziwy instynkt myśliwski. Było nas sześciu, polowaliśmy w lasach, nagonka zachowywała się wzorowo, pod energiczną komendą gospodarza, szybko, sprawnie i cichutko z jednego pędzenia do drugiego przechodziła. Zające były z powodu ciepłego powietrza w polu, więc padło ich tylko 12, rogaczy jednakże 7 i 2 lisy.

Dnia 10. grudnia znowu Osiek, powietrze zimnowilgotne przy dosyć ostrym wietrze; strzelb 10, rezultat 27 kogutów bażancich i 72 zajęcy, nad którymi płakaliśmy, bo gdyby nas był gospodarz usłuchał i pauzował, bylibyśmy tej zimy, tak jak w latach poprzednich w tym samym rewirze, zabili od 200 do 250 sztuk; a teraz widoki nasze zostały bardzo problematyczne! Gospodarz tłumaczył się, że tak za nami tęsknił, bo rok w tok od tylu lat zawsze z nami u siebie polował, że wytrzymać nie mógł.

Dnia 15. grudnia zarząd klucza zatorskiego zaprosił nas na polowanie. Powietrze pochmurne, mgliste, strzelb 10, böhmisches Treiben tak jak w Zassowie od 10-ej do 11-ej, potem od 1-ej do 3-ej; rezultat: 88 zajęcy i 5 kogutów bażancich. Temu lat kilka, na tych samych polach, w tym samym przeciągu czasu, padało po 500 do 600 zajęcy. Powtarzające się lata mokre są główną przyczyną tych znacznych różnic co do ilości zwierzyny; łowczy tamtejszy skarży się na motylicę, jest też projekt kompletnego wybicia teraźniejszego gatunku zajęcy i sprowadzenia nowego, zdrowego z Czech, Moraw i Królestwa.

Dnia 18. grudnia, Andrychów, stoki górskie; strzelb 6, powietrze mgliste ale znośne; rezultat 28 zajęcy, sarny przesuwały się z jednego miotu do drugiego, lecz pod strzał przyjść nie chciały.

Dnia 19. grudnia, Wieprz, pole gminne; strzelb 8, powietrze ostre, przestrzeń w kociołkach opolowana mniej więcej 1600 do 1800 morgów, nagonki 132 ludzi, rezultat 36 zajęcy; w r. 1902 zabiliśmy na tem samem miejscu 88. Drugą połowę Wieprza nie braliśmy wcale w nadziei, że tej zimy potrójny rezultat w porównaniu do lat ubiegłych osiągniemy.

Całoroczny rezultat tego prawa polowania w Wieprzu był: 17 kuropatw, 1 chróściel, 2 bażanty, 19 dzikich kaczek, 1 gołąb dziki, 2 słonki i 43 zajęcy, razem 85 sztuk pożytecznych; 1 lis, 1 kuna, 21 wron i srok, 7 kotów i 3 psy, razem sztuk 33 szkodliwych. Strzelb odebrano kłusownikom dwie, trzech innych za kłusownictwo sądownie ukarano, sideł różnych kategoryi zabrano kilkaset.

Dnia 23. grudnia Andrychów, stoki górskie, poprawka nieudanego polowania z dnia 21. listopada, powietrze suche, przyjemne, strzelb 4, rezultat: 17 zajęcy; sarny przechodziły z jednego miotu do drugiego, lecz pod strzał przyjść nie chciały.

Dnia 24. grudnia polowanie wigilijne — familijne, Bulowice las, powietrze przyjemne, strzelb 4, nagonki 15 ludzi, rezultat: zajęcy 12 — sarny poszły w bok, lisa nie było.

Dnia 28. grudnia pole gminne bulowskie; opolowana przestrzeń mniej więcej 1200 morgów, w tem dworskich 200, powietrze ostre, dokuczliwe, strzelb 8, nagonki 100, kotły: padło 58 zajęcy, mogło legnąć co najmniej 70, ale było

dwóch studentów, którym ręce zmarzły, jak zwykle w takich razach, zwierzyna najsilniej na nich nacierała, a oni chybiali, zwalając winę na sztywne palce.

Dnia 29. grudnia Bulowice, rewir Witkowice: opolowana przestrzeń mniej więcej morgów 1000 pól gminnych i dworskich, jedna nagonka leśna, powietrze łagodne, strzelb 8, nagonki 100; kotły, rezultat: 47 zajęcy, mogło paść ze 60, ale studenci tłumaczyli się, że im wprawdzie ręce nie zmarzły, jednakże jednemu podobno strzelba nie domykała, a drugi miał za słabe naboje. Królami tych polowań byli panowie: porucznik W. G. i porucznik W. B., obydwaj od ułanów. Zważywszy opisane już klęski i to, że obydwa te tereny rok w rok opolowane bywają, rezultat był nadspodziewanie dobry, świadczący, że straż sumiennie odpowiedziała swemu zadaniu, bośmy się tylko połowy rozkładu wykazanego spodziewali.

Wierny hasłu, że polować nie można, pozostawiłem najlepsze rewiry moje, około morgów 3000, odłogiem, w nadziei, że mi się ta wstrzemięźliwość tej jesieni sowicie opłaci.

Rezultat ogólny zabitej zwierzyny w rewirach: Bulowice, Kenty, Kańczuga, Nowawieś i Witkowice był następujący: kuropatw 4, bażant 1, dziki gołąb 1, dzikich kaczek 12, zajęcy 126, razem sztuk 144 zwierzyny pożytecznej; psów 8, kotów 40, wiewiórek 4, wron 33, srok 24, jastrzębi 4, sojka 1; razem sztuk 114 zwierzyny szkodliwej, suma 258 sztuk, od której straży zapłacono 43 kor. 80 h. za pożyteczną, 32 kor. 60 h. za szkodliwą.

Strzelbę odebrano kłusownikowi jedną i ukarano, prócz niego ukarano ośmiu, którym z powodu szybkiej ucieczki strzelb odebrać nie zdołano. Sideł różnego rodzaju zabrano kilkaset, jedną dziewkę, zastawiającą sidła w lesie, schwytano na żywym uczynku i sądownie ukarano. Babie jednej odebrał strażnik na wiosnę z komory, bardzo starannie dwa odhodowane młode zajączki; zapytana, skąd je ma, odpowiedziała, że jej pasterz żywe z pola przyniósł, czekała, aż podrosną, żeby je w mieście sprzedać. Klęła w niebogłosy na strażnika za pokrzywdzenie i za stratę zarobku, bo ją kilkutygodniowe chowanie tych zajączków dużo kosztowało.

Zeszłej wiosny przyniosły mi dzieci szkolne z wielkim tryumfem i radością po dwakroć w koszyczkach młode zajączki, żywe i zdrowe. Zapytane, skąd je wzięły, opowiadały, że idąc do szkoły ścieżkami polnemi złapały je a nauczyciel dowiedziawszy się o tem, nakazał je mnie przynieść.

Zajączki odebrałem, do parku na wolność puściłem, będąc w wielkim ambarasie, jak z dziećmi temi postąpić? zbesztać, — to mi drugi raz zajączków nie przyniosą, do domu zabiorą, wynagrodzić, — to ich zachęcę do dalszego łapania. Starałem się więc wytłómaczyć im, aby tego nie czyniły, wątpię jednakże bardzo, czy nauka moja na coś się przydała. Mamy więc nowe dowody, o czem się już dawno przekonałem, że my właściciele i dzierżawcy polowania zaledwie połowę tej zwierzyny, która co rok się rodzi, strzelamy, a względnie do dalszego chowu zostawiamy, większą połowę dwu i czworonożne drapieżniki, nie licząc już skrzydlatych, niszczą nam i wykradają. Zaiste trzeba mieć niepospolitą pasyę i wytrwałość, aby się tem wszystkiem nie zniechęcić, z rezygnacyą trudy, mozoły i koszta do wywalczenia tej odrobiny zwierzyny ponosić. Potwierdzeniem wymownem mego zdania jest ostatni artykuł w Nr. 5. „Łowca" r. b., łowczego łańcuckiego, fachowca w całem znaczeniu tego słowa. Cóż robić, skoro ten lud nasz jeszcze bardzo dziki, podstępny i mało cywilizowany, własnego interesu nie pojmujący, a niestety przez tych, którzy kosztem jego ciemności żyjąc, koniecznie na stanowiska jakieś wybić się chcą, tendencyjnie i rozmyślnie bałamucony jest. Dla czego w Niższej Austryi zabijają w jednym dniu 1000, nawet 1200 sztuk zwierzyny na polowaniach gminnych? bo lud tamtejszy zwierzyny nie tępi, na rzekome przez zwierzynę wyrządzone szkody nie narzeka, przeciwnie znaczne z niej ciągnie zyski. Za takie polowanie chętnie amatorzy wiedeńscy płacą czynszu dzierżawnego 1000 do 1800 kor. A u nas? gmina bulowska ma przeszło 2000 morgów, zabija się w przecięciu na tych polach rocznie 80 do 90 zajęcy, przypada więc niespełna jeden zając na 20 morgów. Taki sam stosunek a może jeszcze ujemniejszy panuje we wszystkich gminach kraju naszego, a pomimo tego rozdzierają się obrońcy ludu w sejmie, że zwierzyna niszczy biednym wieśniakom plony, panowie mają zabawę, a lud ciężką krzywdę. Gdy nagonka jednakże podczas polowania przechodzi na pola dworskie a biorą kociołki w przecięciu po 400 morgów, to w każdym kociołku zabijamy w przecięciu, według dobrych lub gorszych dla zwierzyny lat, po 50, 60 nawet 70 kilka zajęcy. Kilka mam folwarków wydzierżawionych, a jeszcze mi się nigdy nie wydarzyło, aby dzierżawcy na szkodę przez zwierzynę wyrządzoną narzekali, lub odszkodowania żądali, przeciwnie, dumni z tego są, im więcej na polach ich namnoży się zwierzyny. A zatem jeden zając na dwudziestu morgach gminnych kolosalną czyni wieśniakowi szkodę, przeciwnie jeden zając na pięciu morgach dzierżawcy dworskiemu żadnej nie czyni szkody. Jestto bardzo logiczne, nie ma co mówić! nieprawda? Gdyby wszyscy posłowie nasi sejmowi „Łowca" czytali, nie potrzebowaliby się wysilać, aby wywody obrońców ludu ad absurdum doprowadzić. Gdyby zwierzyna u nas w tej samej ilości, co w krajach ościennych była, słuszniejsze byłyby utyskiwania ludowców; ze względu na stan dzisiejszy wszystko to śmieszne! bo jej nie będzie więcej chyba za 100 lat.

Artykuł tego samego autora, Nr. „Łowca" 5. z roku 1903 str. 58., tyczący się ustawy budowlanej wiejskiej, ma także niesłychaną doniosłość, aby posłowie nasi zastanowić się nad nim raczyli, nie mniej uwaga pana Tadeusza Potockiego, Nr. 21. „Łowca" z r, 1903 str. 252., o odebraniu sklepikarzom sprzedaży prochu, a oddaniu jej c. k. starostwom, bardzo dodatnia. Wszak nie dawno mieliśmy rozprawę z kłusownikiem — tak się zawzięcie bronił, o mało nie wywinął, — wtedy sędzia wpadł na pomysł i kazał do sądu przywołać dwóch sklepikarzy miejscowych, oczywiście żydków. Na zapytanie, czy obwinionemu amunicyę sprzedawali, jeden z nich natychmiast go poznał. Trafiliśmy na uczciwego żydka, co się rzadko zdarza, w razie przeciwnym kłusownik byłby bezkarnie wyszedł.

Dla mieszkających na krańcach powiatu, będzie się wydawała droga po proch do starostwa za daleka, możnaby więc także powierzyć sprzedaż prochu zielonym mundurom, tak miłym oku w kniei, a mniej miłym w urzędzie, chcę powiedzieć c. k. straży skarbowej, której posterunki tak niesłychanie rozmnożyły się w kraju naszym, że nieomal w najmniejszej mieścinie spotykamy ich. I oni obok żandarmeryi przechodząc wzdłuż i wszerz całą okolicę, dla skrócenia sobie drogi częstokroć polnemi ścieżkami, mogliby, przy cokolwiek dobrej woli, spostrzeżeniami swemi przypadkowemi wielce się nam przysłużyć, donosząc właścicielom i dzierżawcom polowania, co widzieli, co słyszeli? a w danym razie, nosząc mundur i pałasz, co zawsze wło-

ścianinowi imponuje, czynnie interweniować. Jakże chętnie wywdzięczylibyśmy się podarunkami myśliwskimi.

Z okolic Biały mało co mnie doszło. W Kozach, u drugiego delegata naszego polowanie reorganizuje się. Stary leśniczy poszedł na emeryturę, nowy podobno już kłusownikom 16 strzelb od 1. października r. z., odkąd służbę rozpoczął, odebrał. Przybył ze Śląska pruskiego, to też pojąć nie może, jaka tu bezkarność panuje! Kłusownicy polują jak u siebie a gmina cały las chce wykraść. Niestety, to samo dzieje się u nas, zwłaszcza w nocach z soboty na niedzielę i niedzieli na poniedziałek, przychodzą bandy z 8 do 10-iu w siekiery i piły uzbrojonych chłopów, rąbią, piłują jak w własnym lesie. Zamiast lepiej, jest coraz gorzej, sędziowie krępowani paragrafami, niskie dają kary, z których przestępcy się wyśmiewają.

W kraju, gdzie takie niemożliwe stosunki panują, powinne być zaprowadzone wyjątkowe ustawy, dopóki lud nie oprzytomnieje. Ale tego wszystkiego chyba wnukowie nasi doczekają się.

Arcyksiążę Karol Stefan w rewirach swych nad Wisłą, w powiecie naszym, nie polował, wiele natomiast w żywieckim powiecie, który z małym wyjątkiem cały do niego należy, w zeszłym roku ubito zwierzyny, dowiedzieć się nie mogłem.

Z pod Oświęcimia to samo, żadne wieści nie doszły mnie, żałuję przeto mocno, że sprawozdanie moje nie może być wyczerpujące.

Jakie, skrzętnie i prawidłowo prowadzone polowanie może w przeciągu szesnastu lat pomyślne wydać rezultaty, nawet w okolicy podgórskiej, w której zwierzyna na niedostatek cierpi, niechaj służy na zakończenie mojej korespondencyi następujący wykaz:

Wykaz ubitej zwierzyny w lasach Państwa andrychowskiego wraz z dzierżawionemi polami i laskami gminnymi.

Zwierzyna pożyteczna:

Rok	Dziki	Rogacze	Zające	Kuropatwy	Kaczki	Bażanty	Słonki	Gołębie	Przepiórki	Razem
1888	—	—	—	—	—	—	—	—	—	82
1889	—	14	85	104	—	—	—	—	—	202
1890	—	13	36	4	—	—	—	—	1	67
1891	1	26	74	14	—	—	—	—	—	115
1892	1	18	144	23	—	—	1	—	—	187
1893	1	10	79	70	—	—	—	—	4	164
1894	—	11	138	47	—	—	1	—	10	207
1895	—	10	93	48	—	—	3	—	3	157
1896	—	11	51	44	—	—	1	1	5	113
1897	—	8	72	12	—	—	1	—	6	99
1898	—	11	187	42	4	—	11	—	8	263
1899	2	9	154	50	1	—	1	5	10	232
1900	4	10	116	78	—	—	2	—	6	216
1901	1	12	221	164	23	4	2	3	9	439
1902	2	17	241	41	54	4	3	16	5	383
1903	—	21	163	11	3	—	2	—	1	201
Suma	12	227	1921	753	85	8	28	25	68	3127

Zwierzyna szkodliwa:

Rok	Jaźwce	Kuny	Lisy	Tchórze	Psy	Koty	Łasice	Wywiórki	Jastrzębie	Wrony	Sroki	Razem
1888	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	3
1889	2	1	13	5	7	—	—	34	4	6	—	70
1890	—	—	20	—	3	—	—	20	—	30	—	73
1891	1	—	9	—	2	4	—	102	—	51	—	169
1892	—	—	12	—	2	5	—	50	8	120	—	197
1893	—	—	9	—	3	6	—	32	6	114	—	170
1894	—	—	2	—	5	6	—	17	6	74	—	110
1895	2	—	11	—	2	14	3	—	9	72	—	113
1896	—	—	10	1	7	13	—	—	3	42	—	76
1897	—	—	1	—	5	10	—	—	6	35	—	57
1898	—	—	7	—	4	20	—	3	16	34	—	84
1899	—	—	—	—	15	33	17	—	—	99	22	186
1900	—	—	3	—	33	37	15	—	6	15	21	130
1901	—	—	3	—	22	43	9	20	13	87	40	237
1902	—	1	5	—	27	40	8	14	8	67	39	209
1903	—	—	5	—	22	24	4	8	11	29	13	116
Suma	5	2	111	6	159	255	56	300	96	875	135	2000

Bulowice pod Kentami 5-go marca 1904.

Adrian Larisch.

Wycieczka myśliwska w góry „Lores“ (Monts Aurés).

Biskra 14. lutego 1904.

Całe trzy doby płynęliśmy z Neapolu, zatrzymując się po drodze w Messynie, Reggio, Catanii i Syrakuzie, do Valetty, prześlicznej Valetty, położeniem przypominającej Monaco. Ulice wąskie jak w miastach włoskich, lecz wzorowo czyste, domy bez dachów o architekturze bardzo oryginalnej i bardzo pięknej, forty najeżone armatami, w porcie bez końca angielskich okrętów wojennych, wielkich i małych. W dwóch dniach zwiedziłem Valettę i dwa sąsiednie miasteczka Malty, sławnej z bajecznych mandarynek, trzeciego na małym francuskim okręcie podążyłem w dalszą drogę do Tunisu. Ciężka była przeprawa, szczęściem tylko 16 godzin trwająca, po wzburzonem morzu; długi a wąski okręcik balansował niemiłosiernie.

Tunis ma zły port, przeszło godzinę wjeżdża się wąskim kanałem wśród ław piaszczystych; na ławach bez końca flamingów, czapel, mew, kaczek i innego ptactwa. Wyjeżdżając, marzyłem choćby o małej wycieczce myśliwskiej w Tunisie lub Algierze, strzelby jednak nie miałem, ponieważ bez zezwolenia ministeryum wojny w Paryżu do Tunisu ładunków przynosić nie wolno, o pozwolenie zaś nie chciało mi się starać. Miałem zamiar strzelbę pożyczyć lub w ostateczności kupić. Właśnie przedstawiłem się konsulowi austr. panu von Grubissich-Keresztur, urodzonemu z Polki i doskonale po polsku mówiącemu i z jego porady zaniechałem zamiaru polowania w Tunisie, gdyż ko-

szta byłyby ogromne, a rezultat więcej niż wątpliwy. Z trzydniowego pobytu w Tunisie skorzystałem, by zwiedzić to miasto egzotyczne. Oglądałem kilka pałaców beja w mieście i jego okolicy, dwa muzea ze starymi garnkami, ruiny ruin Kartaginy, gdyż trudno inaczej nazwać nie interesującą kupkę kamieni i tamże z obowiązku turysty znowu jakieś muzeum z czerepami i ciekawe dzielnice miasta: europejską, przypominającą bulwary paryskie, żydowską, zamieszkałą wyłącznie przez żydów i najbardziej interesującą, arabską. Tam turystę wciągają do sklepów przemocą, w całem tego słowa znaczeniu. Z jednej strony pcha guid mający swoje procenta, z drugiej za rękaw ciągnie kupiec, a raz znalazłszy się w sklepie, trudno oprzeć się pokusie. Kupuje się zazwyczaj za czwartą, lub piątą część początkowo żądanej sumy.

Arabowie przeważnie doskonale zbudowani i przystojni, z reguły nie trudnią się niczem. Nie wiem, skąd ci ludzie pieniądze mają, starczy im jednak na życie wesołe. Wszystkie kawiarnie, a jest ich bez liku, zapchane w dzień i w nocy, w Biskrze formalny Wurstelprater, a wszędzie pełno, na ulicach rulety, widziałem Arabów, grających złotem. Kobiety szczelnie zawelonowane rzadko się spotyka, siedzą w domu, szyjąc burnusy. Są jednak całe ulice, gdzie oblicza dam oglądać można.

Każda siedzi u wrót swego mieszkania, wabiąc przechodniów. Te obskurne dzielnice ze szczególną pasyą zwiedzają sztywne misses angielskie, rzecz dziwna, niemal każda z wystającą szczęką górną, lub dla odmiany dolną.

W kawiarniach arabskich nudna jednostajność. Na małej estradzie kilka starych, brzydkich, zazwyczaj niemożliwie tłustych Arabek, zawodzi przy dźwięku bębenków i piszczałek jakiś śpiew, nieskończenie monotonny, i po kolei prezentuje swój danse de ventre. Okropnie to wygląda, zwłaszcza wobec obfitości ciała i strojów szerokich, obwisłych pantalonów. Wyjątkowo można spotkać młodą i ładną Arabkę. Wówczas danse de ventre bywa więcej zabawny, szczególnie na specyalne życzenie tańczony w stroju estetyczniejszym i bardziej lekkim, (bo nawet bransoletki zdejmują).

Po 24 godzinnej, wcale nie złej jeździe koleją, w połowie drogi przenocowawszy, by widoków nie tracić, stanąłem w Biskrze. Okolica przerznięta koleją dzika, prawie bez śladu cywilizacyi, pustynie i stepy, nagie góry, rzadko kawałek zielonego pola lub winnica, tu i ówdzie osada francuska, lub namioty Arabów nomadów. Czem bliżej Biskry, tem bardziej pusto, góry się kończą, zaczyna Sahara. Pociąg stanął, do okien wagonu zaglądają palmy (jest ich na tej oazie około 170 tysięcy), na dworcu omnibusów jak w jakim Reichenhallu, hotele urządzone z konfortem. Zaraz po przybyciu dowiedziałem się, że w górach „Lores“ oddalonych od Biskry dwa dni drogi, w tym roku niezwykle dużo muflonów, gazel, szakali i hyjen, zaś właściciel hotelu, Niemiec, ofiarował się z urządzeniem całej wyprawy, miał mi i strzelby dostarczyć. Na poczekaniu też wydobył z kąta karabin zakurzony i zardzewiały, z mechanizmem skomplikowanym, którego tajników nie umiejąc mi wytłumaczyć, był nieco zdekoncertowany.

„Das ist ein gutes Gewehr, ein Englender hat damit vor 2 Jahren ein Thier geschossen. Er sagte mir, es schiesst recht gut, nur muss man bedeutend nach rechts nehmen“. Padam do nóg! Lecz nie było rady, lepszej broni w Biskrze nie znalazłem, a pokazało się później, że ta była wcale nie złą. Po krótkiem szukaniu, znalazły się i ładunki, najróżnorodniejsze, prawdopodobnie przez różnych myśliwych w hotelu pozostawione, wybrałem kilkanaście mniej więcej do mego karabinu pasujących. Karabin kazałem oczyścić, przygotowanie wyprawy pozostawiłem gospodarzom, porozumiawszy się w przybliżeniu co do kosztów.

Mając do dyspozycyi dwa dni, starałem się zapoznać z Saharą; dwie wycieczki na wielbłądach dały mi o niej wyobrażenie. Sądziłem mylnie, że Sahara to jedna gładka wydma piasczysta, tak jednak nie jest, są wprawdzie i takie wydmy, lecz daleko więcej przestrzeni zasianej kopcami, przez wiatr nawianymi, jakby wielkiemi kretowiskami.

Kopce te porasta krótka, gruba, pół zwiędła trawa, służąca wielbłądom za pożywienie, tak, że im na Saharze brak tylko wody. Mówili mi Arabowie, że cała Sahara tak wygląda.

Trzeciego dnia o świcie wyruszyłem. Karawanę moją tworzyło sześć mułów i czterech Arabów, nadto towarzyszył mi pewien Francuz, który choć nie myśliwy, pragnął skosztować życia koczowniczego. Ponieważ życzył sobie koniecznie mieć jakiś instrument strzelający, uzbroiłem go w mój rewolwer.

Po żmudnym marszu, popędzając leniwe muły łydkami i okrzykiem errr (o patyk bowiem trudniej na Saharze, niż o butelkę dobrze zamrożonego Marceaux) maszerując parę pierwszych godzin piaszczystą pustynią, potem głuchym stepem zawianym kamieniami, około piątej wieczorem stanęliśmy nad rzeczką, po porze deszczowej jeszcze pełną wody, i tu rozbiliśmy namioty, jeden dla mnie i Francuza, drugi dla Arabów. Kucharz zgotował obiad, wykwintny jak na pustynię, muły nakarmiono i napojono. Twarde były łoża, chłód nocy dokuczał. Nazajutrz o świcie pomaszerowaliśmy dalej, ciągle ta sama pustynia, bez żadnej wegetacyi i bez śladu żyjącej istoty, wreszcie koło czwartej wieczorem stanęliśmy u stóp gór, w których dnia następnego miałem łowy rozpocząć. Góry to nie wysokie i nie skaliste (500 do 600 m.), lecz dzikie, z poszarpanemi ścianami, ze stromemi urwiskami, z głębokimi jarami, które woda w peryodzie deszczów wyżłabia, tu i ówdzie kępka nędznej trawy lub krzaczek w pół suchy, pełzający po ziemi. Byłem bardzo zdumiony, spotykając często parki kuropatw. Do zachodu słońca pozostawały mi jeszcze dwie godziny, z nich korzystając, w towarzystwie Francuza i rabateura poszedłem w góry. Wróciliśmy przy zmroku, spotkawszy tylko tropy muflona, gazel i szakali, w piasku doskonale widoczne. W późniejszych wycieczkach już mi Francuz nie towarzyszył. Dnia następnego bardzo wcześnie z rabateurem, dźwigającym karabin i z drugim Arabem, który niósł śniadanie i aparat fotograficzny, ruszyłem na łowy. Po trzygodzinnem drapaniu się, nieraz przy pomocy rąk i nóg nad przepaśćmi, gdzie, by karku nie skręcić, należało się liczyć z każdym krokiem, nie widząc nic prócz kilku tropów, znaleźliśmy się na szczycie, szliśmy potem długim grzbietem wygodnie jak w parku stryjskim, potem znowu w dół i znowu w górę bez wytchnienia. Nareszcie koło południa spostrzegłem w parowie szakala. Musiał nas już widzieć lub zwietrzył, bo szedł pełnym galopem. Posłałem za nim trzy kule, biorąc „bedeutend nach rechts“ bez rezultatu. Krótki wypoczynek i dalszy marsz. Pod wieczór wskazał mi Arab trzy gazele, na urwisku trawę skubiące, może na 500 kroków od nas. Zostawiwszy Araba na miejscu, starałem się zbliżyć na strzał, stąpając cicho jak duch, nieudało się jednak, gazele niebezpieczeństwo przeczuły, dwa strzały na 200 kroków bez „bedeutend nach rechts“, bo na to czasu nie było, parę susów i gazel ani śladu.

Spotkałem jeszcze jednego szakala, niestety i tego spudłowałem. Po zachodzie słońca, znalazłem moją karawanę, która przed kilku godzinami na umówione miejsce przybyła; namioty rozpięte, koguta na rożnie. Nazajutrz miałem więcej szczęścia. Już po dwóch godzinach ujrzałem pierwszego muflona. Wspaniały to zwierz, mało co mniejszy od galicyjskiej chłopskiej krowy, z rogami w tył zagiętymi, piersi i przednie nogi porośnięte długim, żółtym włosem. Niestety, nie miałem go na strzał, o podchodzeniu zaś mowy nie było, bo dzielił nas parów nie do przebycia. W godzinę później, mogłem strzelić do szakala, jednak z porady rabateura nie strzeliłem, by nie płoszyć muflonów, których tu właśnie miało być więcej. Widziałem jeszcze jedną gazelę, za daleko jednak, by strzał ryzykować, a podejść się nie dała. Gdy począłem godzić się z myślą, że znowu z niczem do obozu powrócę, mój Arab, który szedł zawsze przodem, orlim wzrokiem starannie okolicę lustrując, wskazał mi na muflona, w oddaleniu kilkuset kroków. Przy sprzyjającym terenie i pomyślnym wietrze z niemałym trudem, skradając się i pełzając, potrafiłem zbliżyć się na dobry strzał, byłem jednak tak zadyszany, że zdawało mi się spudłowałbym słonia choćby na parę metrów, na odpoczynek czasu nie było, karabin oparłem o ścianę, zmierzyłem; nigdy w życiu tak nie mierzyłem. po strzale muflon runął jak piorunem rażony. Miałem wreszcie upragnioną zdobycz. Ku uczczeniu dnia, Arab ugotował na obiad ulubiony przysmak narodowy „kuskus“, i dziękuję Bogu, że gdzie indziej takich przysmaków nie podają. W ostatnim dniu polowałem w terenie falistym, mniej nużącym, zastrzeliłem jedną gazelę, małe śliczne stworzenie. Dzień później jeszcze nim dniało, ruszyliśmy z powrotem i po północy stanęliśmy w Biskrze. Biedne muły upadały ze znużenia. Wartoby jeszcze w Biskrze pozostać, spróbować dalszej wycieczki na Saharę, powiadają, że tam i panterę spotkać można, zapowiedziano także wyścigi konne, choć nie wiem czem ścigać się będą, gdyż koni tu mało, a te które widziałem, nędzne szkapy, a także wyścigi wielbłądów, mając jednak daleką drogę przed sobą, zwiedzenie Hiszpanii, Biskrę pożegnać muszę.

Józef Bartmański.

Wiosna.

Idzie radosna!
Wianek z stokrótek na jej skroni błyska,
Kwieciem na ugor pełną dłonią ciska!...
Idzie już wiosna!

Na jej spotkanie
Wcześniej niż wczoraj wstał słońce — kochanek,
Swej lubej w szafir przystroił poranek
Na powitanie!

Z płomiennych gór
Gorącą miłość zsyłał do jej serca,
By ślub z nią zawrzeć wśrod niebios kobierca,
W gotyku chmur!

W cudu tej chwili
Polni śpiewacy zawiśli w lazurze,
Pieśni miłości wydzwaniając w chórze
Ziemię zbudzili!

Wstała radosna!
W deszczu kwietniowym kąpała się z pleśni
I drzew poszumem wtórowała pieśni:
Idzie już wiosna!

Albert Mniszek.

Korespondencye.

O polowaniu na dziki z psami.

Często bardzo zdarzyło mi się słyszeć, czego i naocznym byłem świadkiem na polowaniu z psami na dziki, że panowie myśliwi, mając kilka psów, które dzika gonią i to zwykle w zimie na białej stopie, każą tropić dzika i na poprzednio obtropionego stają mniej więcej na znanych stanowiskach i zapuszczają psy.

Czynią to w ten sposób, jak na każdą inną zwierzynę się poluje, bądź to z pogonką, bądź też z psami. Psy zapuszczone trafiają dziki i te idą przed psami, jak każdy inny zwierz w susach, a jeżeli dzik wyjdzie na strzelca dobrego, pada. Dzik jednak nie zając, nigdy przed psami do miejsca nie wraca, tylko goniony, idzie za dziesiątą granicę, a psy pomęczone wracają w nocy. Gdy psy przejdą z dzikiem przez linię, myśliwi nie mają czego czekać i na tem się kończy polowanie. Jest to mylne, powiedziałbym, postępowanie. Ja będąc około 30-tu lat leśniczym i to przeważnie w górach, gdzie wszędzie są dziki, nabrałem pod tym względem odpowiedniej praktyki, polując ciągle na nie. Moje zapatrywanie jest takie. Panowie myśliwi chcąc się pięknie zabawić polowaniem na odyńca, niechaj je urządzają w ten sposób. Idąc na polowanie, czy to na białej, lub też czarnej stopie, (na czarnej nawet lepiej), mają wziąć z sobą psa i iść razem do lasu, stanąć tam w takiem miejscu, gdzie psa dobrze słychać. Wówczas puścić go, gdy pies zacznie nadszczekiwać na dzika a ten wcale z miejsca nie ruszy. Nadszczekiwanie to trwa dosyć długo, więc też wcale się nie trzeba spieszyć. Gdy nadszczekiwanie to trwa chwilę, należy podejść o paręset kroków od miejsca, gdzie pies nadszczekuje, tam się cicho rozstawić, a jeden z myśliwych lub leśny niechaj zajdzie ze strony przeciwnej i krzyknie na psa: „zabij go“, lub inaczej, wówczas dzik ruszy z miejsca i naturalnie bardzo łatwo wychodzi na strzelca, chybiony zaś, a nawet i ranny nie pójdzie daleko i znów się zastanowi tak, że go łatwo obejść można i zawsze przyjść do strzału. Jeżeli jest n. p. kilka sztuk, to zawsze jedna się oderwie, gdy się krzyknie na psa, a reszta odskoczy kawałek i zostają, tak, że można przy jednym psie wybrać wszystkie, wiele ich jest.

Zdarzało mi się bardzo często, że stary odyniec pomimo krzyku i wołania na psa, nie chciał ruszyć z miejsca, (a sam byłem od niego w gęstwinie o jakich 40 kroków oddalony), tylko ciągle na psa się rzucał, aż dopiero, gdy strzeliłem, ruszył kilkadziesiąt kroków i znów stanął, furcząc i trzaskając kłami na psa. Dzik taki nigdy nie pójdzie